

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

Nr. 4 październik-grudzień 2021r. INS rej. 15/20

WIOSKA NA KRAŃCU



KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY STOWARZYSZENIA
„W STAREJ GMINIE” MIEJSCOWOŚCI HUTA KRZESZOWSKA



„ ...bo dom nasz jest otwarty
we drzwiach nie ma klucza,
a niewidzialni goście wchodzą i wychodzą...”

Z KART HISTORII

Dziedzic folwarku Brzozowiec– Leon Malhomme

Na stronie internetowej portalu „Lasy Janowskie i okolice” p. Jakub Zabłotni opublikował całkiem niedawno, bo w maju 2021 roku, bardzo ciekawy artykuł o folwarku ordynackim w Harasiukach. Ów szkic historyczny tegoż obiektu wpisuje się z pewnością w tematykę poruszaną przez lokalny kwartalnik „Wioska na krańcu”.

Albowiem autor wylicza we wspomnianej pracy jeszcze wiele innych podobnych gospodarstw rolno-hodowlanych, funkcjonujących niegdyś w najbliższej okolicy, aczkolwiek bez podania nazwisk ich zarządców.

Ponieważ należały do nich m.in. takie majątki, jak folwark Huta Krzeszowska, Hucisko, Krzeszów, Księżpol, Lipiny, Momoty, Sól oraz Brzozowiec, celowo wyliczony przez ze mnie na końcu, chciałbym dzisiaj przedstawić sylwetkę jego dziedzica.

Kim był, skąd pochodził i jakim okazał się człowiekiem, czytelnicy niniejszego periodyku dowiedzą się właśnie z tego upamiętnienia, gdyż zasłużył sobie zdecydowanie na nasz szacunek i dobre słowo o nim. Co więcej, pamięć o całej tej rodzinie nie powinna nigdy przeminąć. Tymczasem jego okazały, a przy tym zabytkowy grobowiec na cmentarzu w Puszczy Solskiej, w pobliżu Soli, od dawna grozi zawaleniem.

W międzyczasie okradziono go nawet ze stylowych, żeliwnych elementów wyposażenia, bo... wszyscy już dawno zapomnieli o ogromnych zasługach zacnej rodziny i jej zbrojnych czynach dla ojczyzny, dokonanych w czasach największych zrywów narodowych.

Tytułowy bohater przyszedł na świat 4 maja 1814 roku w Zwierzyńcu. W linii prostej był...synem emigranta francuskiego – Mikołaja Ludwika Malhomme, urodzonego z Metz nad Mozela, który przybył do rozpadającej się Rzeczypospolitej w 1791, a dokładniej tuż po ustanowieniu Konstytucji 3 maja. (Zezwolenie na przyjazd do Polski otrzymał już 6 sierpnia powyższego roku).

Ów Mikołaj przebywał początkowo w Puławach u książąt Czartoryskich, ale dzięki związkowi małżeńskiemu jednej z najpiękniejszych i powszechnie podziwianych kobiet XIX w., przy tym gorącej patriotki – hrabiny Zofii z Czartoryskich, twórczyni Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, z hrabią Stanisławem Kostką Zamoyskim, przeniósł się na stałe na dwór tego ostatniego rodu.

Dzięki temu, począwszy od 1812 roku, mógł pełnić funkcję plenipotentą generalnego wyżej wymienionego, czyli dwunastego z kolei ordynata. Stał więc na czele „Administracji Generalnej Dóbr Państwa Ordynacji Zamoyskich w Zwierzyńcu” i służył im odtąd wiernie aż do końca swojego życia.(zmarł w 1849 roku w Szczebrzeszynie).

W zamian za swe zasługi dla wspomnianej rodziny został dzierżawcą pobliskiego folwarku Brodne (Brody?) oraz Obroc. Ponadto, był zastępcą kuratora wieczystego Szkoły Wojewódzkiej w teraźniejszej „Stolicy Języka Polskiego” (funkcję pełnił do 1832 roku).

Co ciekawe, pomagał również następnemu ordynatowi (Konstantemu Zamoyskiemu) w zorganizowaniu „5 Pułku Ułanów im.Zamoyskich”, a dodatkowo wziął udział w powstaniu listopadowym jako sierżant pułku piechoty, wystawionego przez tegoż hrabiego.

Jego synowie z pierwszego małżeństwa (z Anielą Karoliną de Villeirs, poślubioną w 1797 w Szczebrzeszynie i pochowaną w Maciejowicach, znanych m.in. z przegranej kilka lat wcześniej bitwy z Rosjanami) – Henryk, Stanisław oraz Michał Malhomme także służyli naszej zniewolonej ojczyźnie podczas tego wielkiego powstania.

Pierwszy z nich jako podporucznik artylerii w Zamościu, kolejny jako podpułkownik 2 pułku strzelców pieszych, za co otrzymał potem złoty krzyż Virtuti Militari (nr 356), trzeci zaś za swój udział w tychże walkach z wojskami carskimi został wkrótce zesłany na Syberię.

Również i oni dzierżawili rozmaite majątki Zamoyskich, m.in. Gruszkę Zaporską niedaleko Radecznicy, czy też nieco odległą podlubelską Stryję, podobnie do ich brata, tzn. Leona Malhomme, kolejnego syna Mikołaja Ludwika, który w 1843 roku poślubił Franciszkę Pomorską, administrator folwarku w Brzozowcu, potem właściciela Soli, z czasem jeszcze Kolonii Sól pod Biłgorajem, dawnych posiadłości, wchodzących w skład Ordynacji Zamojskiej.

Warto wspomnieć przy tej okazji o innym potomku spolonizowanego francuza – Ludwiku Franciszku Jakubie Malhomme, który urodził się 12 kwietnia 1798 w Zamościu (zmarłym w 1870r w Celejowie, niedaleko Wąwolnicy). Spędził on bowiem większość swego życia w miejscowości Podzamcze, (dziś osada w gminie Maciejowice, w powiecie garwolińskim), gdzie znajdował się kolejny pałac Zamoyskich, zbudowany w miejscu szesnastowiecznego zamku.

Właśnie od jego nazwiska pochodzi współczesna nazwa wsi Małamówka (kiedyś Małomówka), w wymienionej okolicy, a na pobliskim cmentarzu maciejowickim znajdują się groby jego matki Anieli Karoliny, teściów i prawdopodobnie jeszcze jednej córki Mikołaja Ludwika, również Anieli, zmarłej w 1823r w wieku niemowlęcym.

Z pomocą finansową rodu Zamoyskich (tzn. hrabiego Stanisława Kostki) zrobił on oszałamiającą karierę, rozpoczynając od nauki w Szkole Wydziałowej w Szczepieszynie (w latach 1813-1815) ze świadectwem od samego Samuela Bogumiła Linde, po studia rolnicze w Instytucie Emanuela Fellenberga w Hofwyl k. Berna w Szwajcarii (od 1817 do 1818) oraz w Moeglin (na przełomie 1818 i 1819 roku), a także kameralistyki (ekonomii i finansów, ogólnie rzecz biorąc- skarbowości) w Berlinie.

Zresztą nic w tym dziwnego, skoro Zofia i Stanisław Zamoyscy chętnie zostawiali chrzestnymi Malhommów, jak np. wnuków Mikołaja, czyli córki tegoż Ludwika – Zofii Marii Ewy Malhomme, znanej XIX-wiecznej pianistki występującej publicznie wyłącznie na koncertach dobroczynnych w Warszawie, babki innej utalentowanej artystki – hrabiny Heleny Morsztyn.

Dodam tu jeszcze, iż jego obydwie siostry (a zarazem także Leona Malhomme), Anielę, a po jej śmierci Celestynę, poślubił były oficer wojska polskiego oraz administrator Celinek (tj. podbiłgorajskiej Kocudzy III) – Romuald Sotowski, zaś zrodzoną z tego związku córkę Marię Józefę – rodowity szkot Aleksander Campbell Wilson, pochowany całkiem niedaleko, bo... we Frampolu.

Jeśli chodzi o naszego dziedzica, a w zasadzie administratora – młodego oficjalistę dóbr Ordynacji Zamojskiej, ożenił się on w marcu 1843 w Szczepieszynie z Marianną (vel Marią) Raciborską, pochodzącą z Radomia, z którą miał co najmniej troje dzieci, spłodzonych jeszcze w pierwszym folwarku zarządzanym przez niego, czyli w Brzozowcu, znajdującym się niegdyś pomiędzy Harasiukami i Gozdem Lipińskim.

Niestety nie brał on udziału w powstaniu listopadowym z powodu zbyt młodego wieku (ok. 15 lat), jednak podczas kolejnego zrywu narodowego jego następny dwór – Sól pod Biłgorajem stał się miejscem schronienia dla wielu strudzonych pościgami spiskowców. Był też rzecz jasna ostoją polskości oraz patriotyzmu.

Poza tym, Leon Malhomme służył chętnie nie tylko tym bohaterom, bowiem później pomagał jak mógł także rodzinom zesłańców na Syberię. Należy tu dodać, iż sprawował wtedy funkcję Sędziego Pokoju Okręgu Zamojskiego, stąd zajmował się mniejszymi rangą sprawami cywilnymi z urzędu, co z pewnością ułatwiało mu poznawanie ich ciężkiej sytuacji materialnej.

Jego żona zmarła w majątku Sól w 1881 roku i została pochowana na cmentarzu we wsi Puszcza Solska, stanowiącej obecnie jedną z piękniejszych dzielnic Biłgoraja, założonym jeszcze przez franciszkanów w I poł. XIX w. Z jego woli grób małżonki został otoczony

wówczas ślicznym, stylizowanym zgodnie z trendami tamtej epoki żeliwnym płotem, który w opłakanym stanie przetrwał szczęśliwie do czasów współczesnych.

Potomkowie Leona Malhomme zrodzeni w Brzozowcu, czyli Adam urodzony w 1850 oraz Klementyna, starsza od niego o rok i Benedykt Celestyn Julian, przyszły lekarz w Ożarowie w powiecie opatowskim, który przyszedł na świat w 1851, mieszkali przez pewien czas razem z rodzicami w Soli.

Jego córka jednak, po wyjściu za mąż w 1874 za Witolda Feliksa Wiktora Piramowicza, obrońcę Trybunału Radomskiego, rodem ze Skalbierza (dawniej Gubernia Kielecka), mieszkającym wówczas w stolicy Guberni Radomskiej, przeniosła się zapewne od razu do niego.

Benedykt Celestyn po śmierci matki poślubił w 1885 roku Ewę Boską z Bobrownik w gminie Głowaczów (dawniej miasto) i przeniósł się do powiatu kozienickiego. Właśnie dlatego tylko starszy syn -Adam pozostał na miejscu, by opiekować się nim aż do śmierci. Stało się to dokładnie 13 lat po pogrzebie jego matki. Leon Malhomme zmarł w ostatnim zarządzanym przez siebie folwarku dnia 28 października 1894 roku i został pochowany obok swej ukochanej żony na cmentarzu w Puszczy Solskiej.

Po przejęciu po ojcu Kolonii Sól, Adam Malhomme włączył się również mocno w życie miejscowej społeczności. Wzorem rodzica poświęcił się pracy „dla ludu”, zostając wówczas współzałożycielem Towarzystwa Pożyczkowo-Oszczędnościowego „Łączność”, które w 1907 otwarło nawet swój pierwszy sklep w Biłgoraju.

Powstało ono z inicjatywy ks. Antoniego Zielińskiego z Puszczy Solskiej i takich znanych biłgorajskich działaczy, jak Matraś, Nowakowski, czy Matczyński, w zaszczytnym celu osłabienia monopolu żydowskiego w lokalnym handlu, co miało pomóc uboższej ludności w rozpoczęciu własnej działalności gospodarczej.

Ponadto był jeszcze aktywnym członkiem Lubelskiego Towarzystwa Rolniczego. Niestety już ok. 1910 roku przekazał dzierżawę majątku Kolonia Sól innemu wielkiemu społecznikowi – Józefowi Kiełczewskiemu, jej wcześniejszemu zarządcy i prawdopodobnie stąd wyemigrował.

Wraz ze śmiercią Leona Malhomme i późniejszym przekazaniem wymienionych dóbr przez jego syna, historia tego rodu na ziemi biłgorajskiej skończyła się raz na zawsze.

Mam jednak nadzieję, że ów artykuł bardzo przyczyni się do utrwalenia pamięci o przywołanych ludziach, a także ocali na zawsze miejsce ostatniego spoczynku zapomnianego „wspólnego dziedzica”, o co niedawno wnioskowałam na piśmie do burmistrza Biłgoraja.

Aleksander Campbell Wilson urodzony ok. 1838 roku w miejscowości Leven w hrabstwie Fife w Szkocji (Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii oraz Irlandii Północnej) był synem Tomasza i Agnieszki z Wilsonów, małżonków Campbell, tamże zamieszkałych. W 1863 został dzierżawcą dóbr Biszczka i Korczów koło Biłgoraja. Zmarł w wieku 55 lat dnia 20 września 1893 roku we Frampolu, gdzie również został pochowany.

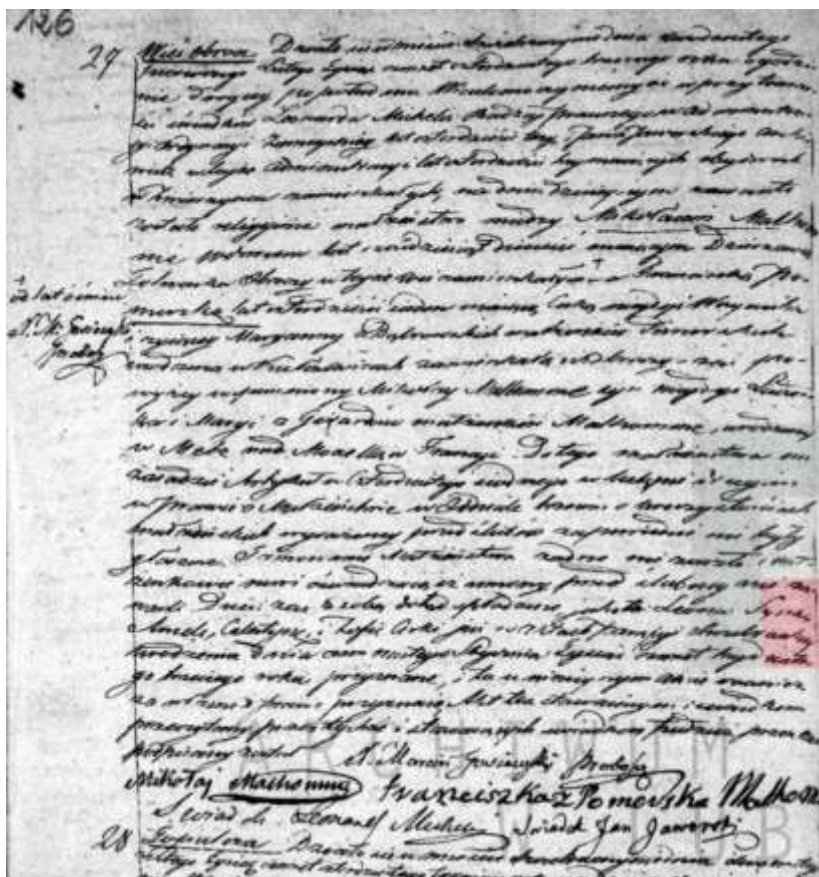
Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszego artykułu w jakiegokolwiek postaci, jest bez wiedzy i zgody autora zabronione.



Grób Leona Malhomme w Puszczy Solskiej. Stan sprzed kilku lat



Ułan 5 Pułku im. Zamoyskich



Akt ślubu Mikołaja Ludwika Malhomme z Franciszką Pomorską

Piotr Flor
Prezes Biłgorajskiego Towarzystwa Regionalnego

BOOKIECIK WRAŻEŃ POLECA

Kiedy pogoda za oknem ani myśli nas rozpieszczać, a pochmurne niebo i towarzyszące mu strugi deszczu nie napawają optymizmem i skutecznie obniżają nastrój, mamy na szczęście lekarstwo - ucieczkę w krainę fantazji najwspanialszym z wehikułów, jakie wymyślił człowiek-książką!

Zapraszam Was zatem w sentymentalną, literacką podróż, za sprawą debiutanckiej powieści Agnieszki Kuchmister, która to 1 września 2021 r. miała swoją uroczystą premierę.

"Florentyna od kwiatów" - czyż nie brzmi to pięknie, tak jakoś kwieciście i śpiewnie? Czyż nie intryguje, nie zachęca do snucia domysłów, komu przyjdzie nam towarzyszyć w tej wspólnej wędrówce? A jakże!

Przyznam się, że moje pierwsze skojarzenie z tym tytułem brzmiało "święta". O świętych wypowiadamy się bowiem w podobny sposób, z użyciem charakterystycznego dla ich cnót przydomka. Florentyna świętą (w tradycyjnym rozumieniu tego słowa) nie jest, choć wierzy mocno i wytrwale - w siły natury, potęgę przyrody, ścisły związek świata rzeczywistego i tego, co wymyka się czysto fizycznym doznaniom. Wierzy w moc przeznaczenia i wreszcie-w samą siebie.

Dziewczyna, której przyjście na świat wymknęło się schematom, w małej wsi zewsząd otoczonej lasami, już od dziecka zadaje sobie fundamentalne pytania - o własne przeznaczenie, rolę jaką ma do odegrania w tej społeczności, która stanowi dla niej centrum wszechświata. Odkrywając siebie, nie walczy z przeznaczeniem, akceptuje je z uśmiechem. A ów świat to równie niesamowite miejsce co ona sama. Sekrety natury, głęboko skrywane tajemnice mieszkańców wsi, tylko czekają na odkrycie - wystarczy tylko szerzej otworzyć oczy, nastawić uszu, pochylić się nad starą studnią, czy wsłuchać w toczony półszepem rozmowy. A kiedy spojrzy się w bezkresne niebo, wchłonie zapach kwiatów czy naga stopą poczuje tętno ziemi, ma się już pewność, że w Sokołowie czas płynie inaczej. I nawet kiedy nadchodzi wojna, która jednych czyni bohaterami, innych tchórzami, wciąż nie brak wiary, że wszystko da się przetrzymać, że to w gwiazdach jest los nasz zapisany.

Opowieść porywa czytelnika od pierwszych stron, ujmując pięknem i subtelnością języka. Poetyckie zabiegi autorki sprawiają, że lektura przebiega bardzo płynnie, a wyobraźnia pracuje na najwyższych obrotach. Podsuwa zachwycające obrazy polskiej wsi, której już niestety nie ma (z okresu tuż po odzyskaniu niepodległości), czy której po prostu nie jesteśmy już w stanie zobaczyć. Przestaliśmy bowiem dostrzegać uroki życia tkwiącego w prostocie, minimalizmie i pogodzeniu z odwiecznymi prawami natury.

Baśniowa atmosfera, nadprzyrodzone zjawiska, fabuła przesiąknięta barwnym folklorem i liczne odniesienia do ludowych wierzeń, a przede wszystkim cała plejada charyzmatycznych, dopracowanych w każdym szczególe postaci, czynią ten debiut naprawdę wyjątkowym.

Dlatego, jeśli czujesz, że potrzebujesz oddechu, oderwania od tego, co tu i teraz, w tym szalonym pędzie, i brak Ci chwili zadumania, to jestem pewna, że "Florentyna..." jest

właśnie dla Ciebie. Mądra, pełna miłości i akceptacji dla ludzi i świata - z pewnością chwyci Cię za serce. Wystarczy, że jej na to pozwolisz.

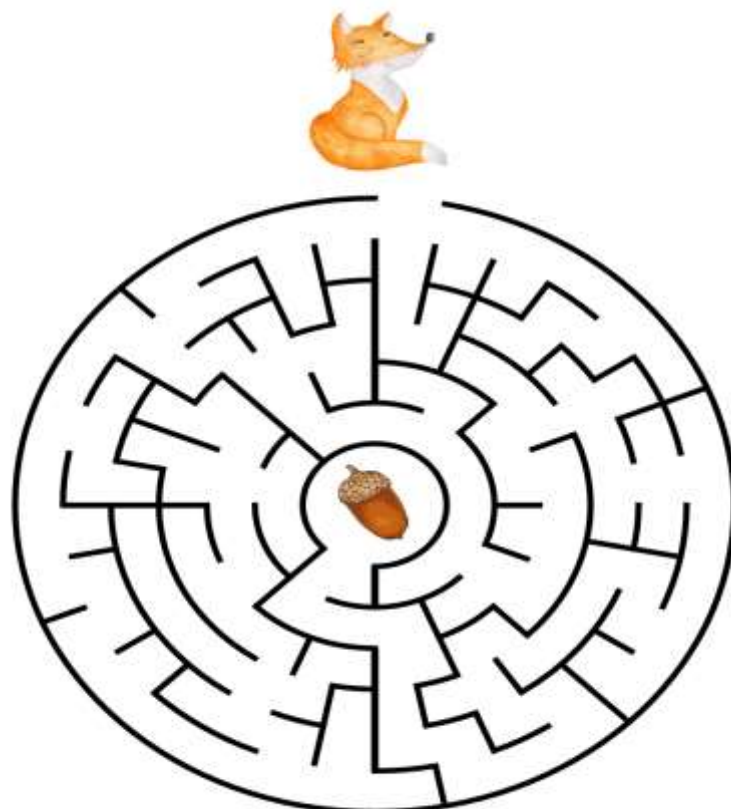


Autor: Agnieszka Kuchmister
Wydawnictwo: Książnica

Mariola Sokal-Dziura
(@bookieci_k_wrazen)



DLA NAJMŁODSZYCH



NA SZKLANYM EKRANIE

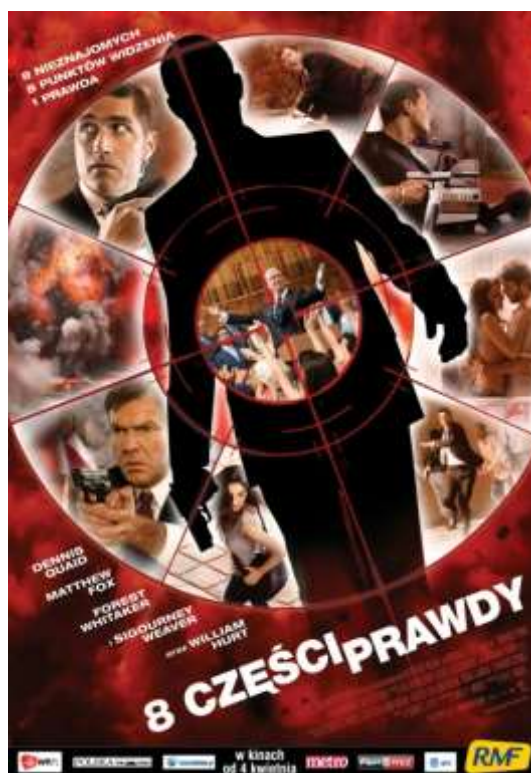
Zbliżająca się jesienna aura już daje się we znaki. Większość z nas w ostatnim czasie czuje się zmęczona i znudzona. Jednak film Pete'a Travisa będzie w stanie to szybko zmienić. Dynamiczna akcja, tajemnicza zbrodnia, gwiazdorska obsada- tutaj nie ma miejsca na monotonię. Thriller, który na długo pozostanie w pamięci niejednego widza.

Prezydent Stanów Zjednoczonych przebywa w Hiszpanii. Już za moment ma wygłosić przemowę w sprawie międzynarodowej walki z terroryzmem. W chwili, kiedy „Głowa państwa” zbliża się do podium ustawionego na zatłoczonym placu, padają strzały. Prezydent pada na ziemię. Narastającą panikę potęguje silna eksplozja... Nagle akcja zostaje zatrzymana i cofnięta. Znowu na ekranie możemy dostrzec prezydenta, który szykuje się do przemówienia. Jednak tym razem całą tę sytuację poznamy z innej perspektywy, dowiadując się nowych szczegółów. Widz jest cały czas trzymany w napięciu, ponieważ cofnięcia następują kilkakrotnie, zawsze w najbardziej intrygujących momentach. Dzięki temu szybko przekonamy się, że początkowo nieistotne albo nierzucające się w oczy szczegóły nabierają nowego sensu.

Film z pozoru może wydawać się schematyczny, ale nic bardziej mylnego. Ta historia jest ciekawa i intrygująca. Mamy tu mnóstwo zwrotów akcji. Im więcej szczegółów, tym bardziej widz pragnie poznać zakończenie, które, mogę zapewnić, zaskoczy wszystkich. Ponadto strona techniczna filmu jest na wysokim poziomie. Efekty specjalne nie są przerysowane, jak niestety w większości tego typu filmów, co również jest ogromnym atutem tej produkcji.

Zaznaczono tutaj, jak jedno wydarzenie może być postrzegane przez różne osoby. Bohaterowie są indywidualni i według mnie bardzo dobrze zagranii. Każdy z nich widzi śmierć prezydenta w zupełnie inny sposób, co znacznie zmienia ich podejście do sprawy. Z pozoru nic nieznaczące osoby, pełniące wiele funkcji w społeczeństwie, okazują się być ze sobą powiązane. Zaczynając od producentki wiadomości, która traci swoją dziennikarkę na wizji, poprzez policjantów i turystów, a kończąc na ochroniarzu prezydenta obwiniającego się za zaistniałą sytuację. W sumie osiem różnych osób. Wszyscy to świadkowie zamachu, być może widzieli strzelca, a nawet nie zdają sobie z tego sprawy. Ich relacje pozwolą ułożyć elementy układanki w całość i odkryć przerażającą prawdę. Jednak z coraz to nowszą perspektywą rzeczy zaczynają się komplikować. Jak już wspomniałam wcześniej, każdy nowy, nawet najdrobniejszy szczegół odsłania kolejne elementy zamachu i zmienia znaczenie pozostałych. W tym filmie nic nie jest takie, na jakie mogłoby się wydawać.

„8 części prawdy” to bardzo dobry, nieprzewidywalny film, który podkreśla, że pozory bywają bardzo mylące. Serdecznie zachęcam wszystkich do seansu!



Oprac. Aleksandra Chutkowska

„Czuję jakbym gubił swoje liście”- cytata z filmu.

„Ojciec” (reż. Florian Zeller) to dramat poruszający temat choroby demencji starczej. Cierpi na nią główny bohater Anthony (Anthony Hopkins), który mieszka wraz ze swoją córką Anne (Olivia Colman). Kobieta opiekuje się swoim ojcem, co nie jest rzeczą łatwą. Obsesja na punkcie zaginionego zegarka czy zapominanie najważniejszych wydarzeń to tylko ułamek tego, co przeżywa staruszek. Niesamowity film, który najlepiej definiuje demencję- choroby, w której czas nie istnieje.

Anthony ze względu na swoją przypadłość potrzebuje specjalistycznej opieki. Jego córka na co dzień pracuje, więc nie może mu poświęcić całego swojego czasu. Anne stale próbuje znaleźć jakąś opiekunkę, lecz mężczyzna nie chce się na to zgodzić. Twierdzi, że sam daje sobie radę i nie potrzebuje żadnej pomocy. Pewnego razu przyszła do niego pani Angela, trzecia osoba zatrudniona przez Anne. Anthony ją zwyzywał i groził fizycznie, uznał ją za szaloną, a nawet oskarżył o kradzież zegarka. Kobieta zaczyna tracić nadzieję. Z rozmowy z ojcem na początku filmu dowiadujemy się, że planuje wyjazd do Paryża, gdzie poznała miłość swojego życia. Anthony twierdzi natomiast, że go porzuca i z pewnością odda do domu starców. To pokazało, że mężczyzna nie do końca ufa swojej córce. Kiedy Anne uspokajała ojca, że zegarek z pewnością jest w jego skrzynce, ten zaczął podejrzewać ją o kradzież, co oczywiście było absurdem. Anne bardzo kocha swojego ojca i chce żeby żyło mu się jak najlepiej. Niestety, on nie docenia jej starań. Często natomiast wspomina o swojej drugiej córce, która była malarką. Mówi, jak bardzo pragnie ją odwiedzić i mocno przytulić, zapominając że ta dawno zginęła w wypadku samochodowym.

Innym razem do domu wszedł pewien mężczyzna. Otworzył drzwi, usiadł na fotelu i zaczął czytać gazetę. Wystraszony Anthony wziął widelec (jako narzędzie samoobrony) i uprzejmie zapytał, co tutaj robi. Kiedy ten odpowiedział mu, że to jego miejsce zamieszkania, staruszek zbulwersował się. Nie wiedział w jaki sposób ma wytłumaczyć nieznajomemu, że tutaj nie mieszka, a gdy dowiedział się że to jego zięć Paul, naprawdę przestawał wszystko rozumieć. Chwilę później Anne wraca z zakupów, wita się z ojcem, a ten... nie poznaje jej.

Bezradność- to najlepsze określenie tego, co czują bliscy chorego. A co czuje sam chory? Doskonale widać to w następnej scenie. Otóż, zaraz potem Anthony dowiaduje się, że tak naprawdę nikt nie wszedł niespodziewanie do domu. Nie było żadnego Paula. Nie było żadnej rozmowy, żadnego wyjazdu do Paryża. Czujecie to zmieszanie? Do głowy przyszła mi wtedy tylko jedna myśl: Jak to w ogóle możliwe? Dlaczego nikt mu nie wierzy? Będę szczerza- naprawdę mu współczułam.

Przez większość seansu czułam się zdezorientowana, ponieważ przedstawiane informacje w żaden sposób się nie łączyły, wraz z Anthony’em nie wiedziałam co się dzieje, aż do momentu w którym zrozumiałam, że w filmie na przemian ukazywane są sytuacje z przeszłości i z teraźniejszości. To, co widzimy jest tym, co widzi staruszek chory na demencję.



Myślę też, że sposób w jaki zostało przedstawione cierpienie głównego bohatera chorego na demencję było najlepsze z możliwych. Gdyby wydarzenia były przedstawione chronologicznie, z perspektywy córki, film nie byłby tak efektowny. Dzięki temu rozumiałam co czuje główny bohater. Co więcej, nie widziałam wyłącznie choroby i dziwactw. Widziałam też jego historię, razem z nim przeżywałam emocje. Jeśli zdecydujesz się na obejrzenie, to pomyśl, czy ostatnia scena to w końcu teraz, czy kiedyś?

Oprac. Natalia Bożek

Historie zwyczajne?

W obecnym wydaniu kwartalnika pragnę podzielić się z państwem historią pewnego wydarzenia, wydarzenia które miało miejsce przed prawie stu laty. To prawdziwa historia, której głównym aktorem, ku własnemu nieszczęściu, był młody człowiek pochodzący z biednej wyrobniczej rodziny Byliców. Na imię było mu Piotr, ale przez wszystkich nazywany był Pietrem – Pietrem Bylicą. Czy była to tylko „zwyczajna” historia – oceńcie sami.

Początkiem dwudziestego wieku, aż po lata trzydzieste, dzierżawcami folwarku Lipiny była rodzina Dzbeńskich – Adolf i Jadwiga. Majątek przez nich użytkowany liczył wtedy 610 hektarów. Było to duże gospodarstwo, dlatego wymagało znacznej liczby pracowników najemnych. Czasy, kiedy dwór mógł liczyć na darmową pracę włościan, czyli pańszczyznę były już przeszłością. Teraz należało opłacić pracownika i zapewnić mu w miarę godne warunki do życia i pracy. Dlatego min. wznoszono czworaki dla służby i zasiedlano rodzinami zatrudnionymi w majątku. Byli to zazwyczaj ludzie ubodzy i często nie mający nawet małego kawałka własnej ziemi. Zwano ich potocznie wyrobnikami lub fornalami, a jedną z takich rodzin byli Bylicowie – Jan i Józefa Bylicowie.

Będąc przy państwie Dzbeńskich, pozwolę sobie na przedstawienie krótkiej historii ich życia. Dzierżawca lipińskiego majątku - Adolf Dzbeński urodził się w 1871 roku na Mazowszu w miejscowości Oldaki, w powiecie ostrołęckim. Był synem Tomasza Dzbeńskiego i Anastazji z Ciszkowskich. W 1902 roku poślubia Jadwigę Słuską, córkę Wincentego Słuskiego i Marii z Albrychtów, dworzan z miejscowości Niemce w powiecie lubelskim. Parę lat po tym wydarzeniu rodzina sprowadza się do Lipin i przejmuje od Ordynacji w dzierżawę tutejszy majątek ziemski. Małżeński związek Dzbeńskich trwa do 1920 roku, do czasu zgonu Adolfa. Po jego śmierci ciężar obowiązków związanych z prowadzeniem i zarządzaniem gospodarstwem przyjmuje na siebie owdowiała żona Jadwiga. Według opinii osób żyjących w tamtym czasie, ta nie cieszyła się najlepszą opinią wśród podległych jej pracowników, ponieważ była osobą nadzwyczaj wyniosłą a do tego arogancką, natomiast ludzi którymi zarządzała traktowała no najmniej chłodno. Wymagała dużo i niekiedy wykonywania pracy ponad siły, nie zważając przy tym na konsekwencje wynikające z takiego, a nie innego postępowania. Była bowiem osobą despotyczną i to w dokładnym tego słowa znaczeniu. Ona również będzie jedną z bohaterek tego opowiadania, wprowadzie drugoplanową, ale jednak.

Wracając do Byliców, to głowa i ojciec rodziny – Jan, zostaje w czasie pierwszej wojny światowej wcielony do armii carskiej. Przyjdzie mu walczyć na froncie rosyjsko – austriackim, a los rzuci go na południe Europy, aż pod granicę węgierską. W tym czasie obowiązki względem dworu spadną na jego małoletnich synów, na Piotra i Łukasza Byliców. Ci, będąc jeszcze wyrostkami, muszą ciężko pracować we wspomnianym majątku, aby w zastępstwie ojca utrzymać rodzinę. Wartość ich pracy liczona jest jak dwa do jednego, dlatego do pracy musieli stawać codziennie obaj - we dwójkę, aby odrobić powinności przypisane ich ojcu. Taki stan rzeczy trwa do czasu zakończenia wojny i szczęśliwego powrotu Jana Bylicy. Kiedy zdaje się, że los sprzyja rodzinie, nastąpi coś, czego trudno byłoby się spodziewać.

W 1920 roku umiera Adolf Dzbeński. Obowiązki związane z zarządzaniem gospodarstwem spadają na ręce jego żony Jadwigi. Ta do pomocy ma zarządcę, którym jest pan „K”. Nie podam pełnego nazwiska, ponieważ nie mam pewności, czy zrobię to poprawnie. Innymi słowy - nie chcę przedstawić kogoś w złym świetle, podając niepoprawnie napisane nazwisko. Otóż ów zarządca, osoba stateczna (żonata) i dobrze sytuowana, miała wyjątkową słabość do płci pięknej, a liczba jego miłosnych podbojów miała być znaczącą. Mawiano, że po śmierci pana Dzbeńskiego, był on również częstym gościem nie tylko w pokojach jego owdowiałej żony. Pomimo tego „K” nie zaprzestał nowych podbojów i wynikających z tego wyzwań, wciąż chętnie zabawiając się z dworskimi panienkami, o czym nie tylko wiedziała, ale też głośno plotkowała cała tutejsza służba oraz liczna czeladź dworska. Także pani „świadoma będąc jego słabości, przymykała na wszystko oko, mając „pomoc” tak w domu, jak i w polu czy obojętnie.

Historia o której wspominałem na wstępie rozegrała się pewnego zimowego wieczoru, kiedy to pan „K” postanowił zabawić się z jedną z tutejszych dworek. Pewnie wszystko przebiegłoby zgodnie z planem, a całe wydarzenie minęło bez większego echa czy rozgłosu, gdyby nie wścibska folwarczna młodzież, która postanowiła zrobić parze psikus. Gdy ta zamknęła się za drzwiami stojącej na uboczu komórki i oddawała się miłosnym uniesieniom, jeden z podrostków zablokował skobel drzwi wejściowych, tym samym zmuszając kochanków do spędzenia w niej całej nocy. Nie muszę chyba wyjaśniać co działo się nazajutrz. Jednakże śmiech dworzan z zaistniałej sytuacji szybko ustąpił miejsca przekleństwu zarządcy „K”, który poprzysiągł dokonać zemsty na dowcipnisiu oraz wziąć na nim srogi odwet. Kto zamknął zarządcę w komórcie? Tego nie wiem. Wiem tylko, że jeden z synów Jana Bylicy stanie się niewinną ofiarą zemsty pana „K”. Niewinną, ponieważ mogę powiedzieć z całą odpowiedzialnością, że ten nie miał nic wspólnego z tamtymi wydarzeniami. Znalazł się przypadkiem w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie.

Działo się w zimowy wieczór, tuż przed świętami Bożego Narodzenia. Tego dnia Piotr Bielica wracał z głównej wsi, idąc w stronę pograżonych w ciemności zabudowań dworu, gdy drogę zastąpiła mu ciemna postać majająca na tle brudnego grudniowego śniegu. Któż to? - pomyślał. Jednakże rozpoznawszy charakterystyczną sylwetkę pana „K” śmiało ruszył przed siebie. Nie uszedł nie więcej niż trzy kroki, gdy nastąpił błysk, a powietrze wypełnił tępy ale złowrogi huk oddanego strzału. Były to ostatnie ziemskie znaki jakie rozpoznały zmysły Piotra Bylicy, bowiem ten raniony kilkoma odłamkami śrutu, bezwładnie osunął się na ziemię, purpurą krwi barwiąc brudny jeszcze przed chwilą śnieg. Podekscytowany i wyraźnie zadowolony sprawca owego czynu ruszył w kierunku osuwającej się postaci, klnąc przy tym niemilosierdzie na całe gardło: „myślałeś, że ci daruję zniewagi oraz poniżenia, jakiego doznałem z twojej ręki. Masz za swoje” - wykrztusił przez zęby, z wolna podchodząc do jęczącego na śniegu Bylicy. Gdy był już nie więcej, niż na wyciągnięcie ręki, pobałdł – „Boże to nie on! Co ja narobiłem?!”

Huk wystrzału zaalarmował służbę oraz czeladź dworską. Ci widząc, że stan rannego jest ciężki, bezzwłocznie podjęli decyzję o przetransportowaniu nieprzytomnego Piotra do najbliższego szpitala. Jednakże wysiłki oraz starania ratujących okazały się być nadaremne, gdyż serce Piotra przestało bić w połowie drogi do Biłgoraja.

Tymczasem wystraszony zarządca, czując beznadziejność zaistniałej sytuacji, „czmychnął” czym prędzej na pokoje do Pani. Ta widząc błądliwość twarzy swojego zarządcy i kochanka zarazem, spytała drżącym ale stanowczym głosem:

Co się stało? Co uczyniłeś?

Zabiłem Pietra Bylicę! - odparł na wpół przytomnie K.

Widział cię ktoś?

Nie. Byłem sam...

To dobrze – odrzekła Pani, nie okazując przy tym najmniejszych emocji.

Rozmowie przysłuchiwała się nieletnia dziewczyna, będąca służącą u pani Dzbeńskiej. Pochodziła spod Warszawy, a możliwe, że i z samej stolicy. To na jej zeznaniach oprze się późniejszy akt oskarżenia przeciwko „K”. Jednak na nic się to zda, ponieważ sąd za czynnym wstawiennictwem pani Dzbeńskiej, uzna zeznania służącej za nieprawdziwe, a młodą damę za niewiarygodną, a nawet niespełna rozumu. No cóż takie były czasy i takie sądy. Czy wiele zmieniło się dzisiaj? Pozostawię to pytanie bez odpowiedzi.

Jak mówił mój rozmówca, rodzina po tamtym wydarzeniu przeprowadziła się do Harasiuk na rodzową ziemię Byliców. Jednak ta była wyjątkowo podła i nie rokowała dobrze, dlatego brat zmarłego – Łukasz Bylica, porzucił swoją Ćwierć i zatrudnił się w folwarku – najpierw w Brzozowcu, następnie w Malenniku. Tam rodzina pracować będzie przez kilkanaście lat, by po parcelacji obu majątków otrzymać na własność kawałek gruntu - ziemi będącej rekompensatą za ciężką pracę na rzecz Dworu i Pana. To właśnie w Malenniku, na czterech hektarach wykrojonych z parcelowanego folwarku, osiadł brat zmarłego – Łukasz Bielica z rodziną.



Drewniana kapliczka z figurą Chrystusa Króla, w pobliżu której rozegrały się opisywane wyżej wydarzenia.

A co z zabójcą? Jaki los był mu pisany? Mój rozmówca wyjawiał mi, że rodzina zmarłego wysupławszy ostatni grosz dała na mszę w „intencji” krzywdziciela. Nabożeństwo miało być odprawione w jednym z okolicznych klasztorów, a celebrowało go jednocześnie dziewięciu kapłanów. Nie wiem ile prawdy jest w tych słowach, ale w pół roku po tamtych wydarzeniach „K” zapadł na zdrowiu i na nic się zdały zabiegi oraz starania sprowadzanych przez Panią lekarzy. Mówiono, że „K” leżąc już na łożu śmierci miał zwierzyć się w zaufaniu: „To za Pietra Bylicę, to jest kara za zastrzelenie Pietra”.

W niedalekiej odległości od miejsca tamtych wydarzeń, przy niewielkim strumyku przecinającym drogę z Lipin do Potoka stoi niewielka kapliczka z kilkoma ikonami i figurą Chrystusa króla. Niektórzy mówią, że w jej bezpośrednim otoczeniu, gdy okoliczne łąki spowijają gęste, rozległe mgły, a noc stoi u progu dnia - „coś” straszy. Czyżby pokutująca dusza folwarcznego zarządcy błąkała się po wydeptanych przed wiekiem ścieżkach oczekując na słowo przebaczenia? A może nie. Może to Piotr szuka bezpiecznej drogi do domu?

Nie wiem jak jest, wiem tylko, że obaj potrzebują naszej modlitwy. Piotr, by jego dusza osiągnęła zjednoczenie z Panem. „Zarządca”, który nie był w stanie zdusić w sobie żądzę zemsty, wstawiennictwa za uwolnienie od ciężkiego grzechu zabójstwa. Amen.

Andrzej Wójcik

ŻANETA

Był jeden problem, który ze względu na mój zamiar usiłowałem w myślach szybko rozstrzygnąć. A nie sądziłem, że zostało mi wiele czasu, bo nie wydawało mi się, żeby cel podróży znajdował się daleko.

Tym problemem była osoba znajdująca się na tylnej kanapie czarnej Astry, którą jechaliśmy według wskazówek pewnego wrogo nastawionego mężczyzny, czyli ustronną, lokalną drogą przez zalesioną okolicę. Dziewczyna z tyłu była ledwie żywa, częściowo ze strachu, praktycznie całkiem bezbronna, bez możliwości reakcji na niebezpieczeństwo, jakie miałem lada chwila na naszą trójkę sprowadzić.

Mówiąc trójkę mam na myśli jeszcze gościa, siedzącego obok mnie na fotelu pasażera. Facet trzymał mnie na muszce pistoletu w prawej dłoni, odwrócony nieco w moim kierunku. Jego lewa ręka spoczywała luźno na udzie, co przynosiło mu pewną ulgę w cierpieniu, które mu wcześniej spowodowałem w walce wręcz. Niestety nie zdążyłem go całkiem unieszkodliwić, gdyż ciut wcześniej odezwało się moje sumienie, co umożliwiło mu dobytecie broni, chwycenie dziewczyny i zagrożenie zastrzeleniem jej. Groźba wyglądała na całkiem realną; wiedziałem o jego dwóch wcześniejszych ofiarach, do których się sam przyznał, ku przestrodze.

Cóż, kres podróży pewnie szybko się zbliżał i nie mogłem dopuścić, byśmy go osiągnęli będąc w aktualnej sytuacji. Musiałem działać zanim będzie za późno. Prosta, lokalna, asfaltowa droga była dość wąska i pusta. Powoli nacisnąłem mocniej pedał gazu i auto zaczęło przyspieszać. Kiedy mój sąsiad zdał sobie z tego sprawę, spojrzał na mnie uważniej. Zauważyłem, że najpierw rzucił okiem na licznik, ale było to za krótko jak na mój plan. Powiedziałem spokojnym głosem:

- Widzisz, stary? Zasuwamy ponad setką.

Ponownie zerknął, ale wciąż za krótko, i nie odpowiedział. W ogóle był z niego milczek.

- Jak myślisz, koleś – podjąłem po chwili – co by się stało, gdybym zaraz nagle wcisnął hamulec do dechy? Podpowiem ci - kontynuowałem nie czekając na odzew. – Spodziewając się tego, jakoś bym się utrzymał, ale ty poleciałbyś na pysk i uderzył głową w szybę. Warto więc chyba zapiąć pas, nie sądzisz?

Spodziewałem się podświadomej reakcji obronnej jego mózgu i nie zawiodłem się. Facet odruchowo ruszył prawą rękę, odsuwając ją od siebie w bok, jakby miał zamiar sięgnąć po pas na środkowym słupku, tuż za jego plecami. Chwilę później zorientował się, że jest to niemożliwe, bo w tej właśnie, jedynej sprawnej dłoni, trzymał pistolet. I ta chwila trwała już wystarczająco długo, choć była to zaledwie jedna sekunda. Wbiłem stopę w pedał do oporu, zapierając się lewą nogą o podłogę i rękami o kierownicę. Na szczęście wytrzymała mój napór.

No i stało się, jak zaplanowałem. Darte na asfalcie opony przeraźliwie zapiszczały, a mój przeciwnik runął do przodu jak wystrzelony z armaty. Walnął głową zarówno w deskę kokpitu jak i przednią szybę, co musiało go zdrowo zabołec i zamroczyć. Ciągłe zwalnialiśmy, zdołałem sięgnąć nad jego plecami, pochwycić uzbrojoną dłoń i wyrwać mu

gnata. Kolejną sekundę później uznałem, że mogę już całkiem puścić kierownicę i lewym hakiem zaprawiłem faceta w odsłonięty bok szyi. Nie żałowałem siły, wałęnałem go zdrowo, co załatwiło go na dobre. Ale mimo to kłopoty jeszcze się nie skończyły.

Okazało się, że hamulce nie działały równo i auto, choć już mocno spowolnione, zniosło jednak nieco w bok. Prawe koła zaliczyły nieutwardzone, trawiaste i wąskie pobocze. Astra przeskoczyła płytki rów i po kolejnej sekundzie wałęnała dziobem w drzewo. Nie była to już jakaś kraksa, ale auto do jazdy się już nie pewnie nadawało. Wystrzeliły poduszki, z tyłu dobiegł mnie cichy jęk, lecz znad oparcia fotela wyrzała rudowłosa głowa, cała potargana i z wystraszonymi oczami, lecz bez widocznych obrażeń.

- Okej? – zapytałem, na co otrzymałam potwierdzające skinienie i wypłatałem się z więdnącej powoli poduszki.

Spróbowałem wysiąść, lecz musiałem solidnie kopnąć drzwi, żeby się otworzyły. Z tylnymi poszło łatwiej i po chwili pomogłem pasażerce wydostać się na zewnątrz. Próbowala stanąć o własnych chwilach, lecz musiała oprzeć się o karoserię.

- Jezu! – wydusiła z siebie. – Ale kicha!

Nie oponowałem, ale tylko z uprzejmości. Dziewczyna szybko doszła do podobnej refleksji, bo dodała: -Chyba nawaliłam, co?

Nadal nie miałem powodu zaprzeczać, więc bez słowa obróciłem ją i rozplątałem więzy. Wtedy zajrzałem do auta. Akurat nasz prześladowca zaczął dawać pierwsze słabe oznaki przytomności. Nachyliłem się, przetargałem go na moje poprzednie siedzenie i użyłem długiego paska torebki dziewczyny do skrępowania mu rąk. A ponieważ pasek był podwójny, jego nadmiar przeciągnąłem pod fotelem tak, że gość siedział złożony w pół, bez możliwości ruchu. Z nosa leciała mu krew, na czole zaczęły formować się dwa piękne guzy, zaś przekrzywiona głowa świadczyła o tym, że mięśnie szyi doznały poważnego urazu. Ale przeżyje.

- Co teraz? – dobiegł mnie zza pleców jej głos. – No i tak w ogóle, to sorry.

Co teraz? Dobre pytanie. Trochę ją podpytałem i wyszło, że Żaneta okazała się niedoszłą ofiarą gości handlujących żywym towarem. Zetknął mnie z nią zupełny przypadek.

Nie, nie byłem żadnym agentem służb specjalnych, ani komandosem, czy wojownikiem MMA, ale umiejętności dawania sobie rady dość dobrze opanowałem. Zaczęło się gdy miałem trzynaście lat i wraz z kolegą z klasy zostaliśmy napadnięci przez chłopaków z sąsiedniej dzielnicy. Byli nieco starsi i zgłosili zastrzeżenia do naszej wyprawy na ich boisko. Zwiewaliśmy ile sił w nogach, ale i tak nas dopadli i solidnie obili. Na dodatek musieliśmy klękać, czyścić im buty i błagać łobuzów o zakończenie rozprawy, a co więcej- przyrzec całkowite milczenie. Leciała nam obu krew z nosa, pojawiły się siniaki, a mój towarzysz niedoli posikał się.

Po powrocie do domu przyrzekłem sobie, że nigdy więcej nie dam się tak upokorzyć i błagać jakieś szumowiny o litość. Zacząłem trenować. Najpierw samemu siłę i sprawność, a później, gdy wyrosłem na sporego faceta, zapisałem się do szkoły Krav Maga, czyli izraelskiej szkoły walki. Nie jest ona nastawiona sportowo, jak kilka innych tego typu, lecz głównie na efekt, czyli jak najszybsze unieszkodliwienie napastnika, bez wdawania się w te idiotyczne, kilkuminutowe, filmowe napażanki. Na uczelni byłem już tak dobry, że namawiano mnie na zmianę stylu na sportowy, aby osiągnąć pewny sukces, jednak nie o to mi

chodziło i pozostałem wierny swemu młodzieńczemu postanowieniu. No, może z jedną małą modyfikacją. Zdałem sobie sprawę, że na świecie jest dużo złych ludzi krzywdzących słabszych, ale nie będzie się tak działo pod moim nosem, jak to po latach wyartykułował mój późniejszy idol, Jack Reacher.

I tak dochodzę do wcześniej opisanych wydarzeń. Był wtorek, czyli jak zawsze w dni parzyste wybrałem się na plenerowy trening. Rowerem wyjechałem za miasto, zostawiłem go przywiązanego do drzewa, ruszyłem do półgodzinnego biegu, po którym przez kolejne trzydzieści minut ćwiczyłem pompki, brzuszki i podciąganie na gałęzi. Czasem wracałem z takiej wyprawy tą samą drogą, czasem zmieniałem trasę na okrężną i tak się właśnie stało tego dnia.

Wybiegłem na małą polankę nieco oddaloną od średnio rzadko uczęszczanej asfaltówki, gdzie natknąłem się na nieprzyjemną scenkę. Obok czarnej Astry ubrany w dżinsy facet rugał głośno rudowłosą dziewczynę, a po chwili użył dodatkowego argumentu w postaci podwójnego uderzenia w twarz. Dziewczyna zapłakała i skuliła się w oczekiwaniu na kolejne, jakby znała już dalszą procedurę.

Podbiegłem bliżej i zawołałem:

- Hej, gościu, daj spokój!

Wysoki blondas o paskudnej gębie obejrzał się i warknął:

- Nie twój interes facet.

Domyślałem się, że dziewczynę wystawiono na trasę, lecz albo się zbuntowała, albo próbowała oszukać swego alfonsa. Dopiero później dowiedziałem się, że zmuszono ją do odpracowania niespłaconego na czas długu ojca, czego nie miała zamiaru dokonywać w taki sposób. I kiedy alfons odjechał, postanowiła wrócić na piechotę do miasta, lecz gość zaczął w ukryciu i szybko wrócił, żeby ukarać dziewczynę i ją nawrócić. I na ten właśnie moment trafiłem.

- Zdaje mi się, że ta pani nie ma ochoty na towarzystwo takiego damskiego boksera – powiedziałem.

- Pewnie, że nie – zawołała trzymając się za bolący policzek. – Gnoje zasrane! – Dziewczyna zamierzała go obejść, lecz facet chwycił ją za rękę, obrócił do siebie i ponownie uderzył w twarz.

- Rzeczywiście, gnojek z ciebie – ruszyłem ku niemu, żeby dać mu nauczkę. Byłem jakieś trzy metry od niego i powoli zbliżałem się.

-Wynoś się, powiedziałem – rzucił cichym głosem. – Chcesz, żebym ją przedziurawił?

Niech to kule biją– przemknęło mi przez myśl – jakiś szajbus. Może na haju. Oczywiście nie chciałem narażać dziewczyny, ale trudno było zrozumieć, co gość ma na myśli. Podeszedłem jeszcze bardziej, on zaś zareagował w najgłupszy sposób. Może nie był przyzwyczajony do oporu, albo zbyt pewny siebie, więc zlekceważył mnie i spróbował zadać cios lewą ręką. Mi w to graj, wywinąłem mu ją na zewnątrz i odtrąciłem bez problemu, lecz coś powstrzymało mnie, żeby ją całkiem ukręcić w stawie barkowym i uszkodzić na dobre. Ponieważ jednak chciał powtórzyć manewr, tym razem nie odpuściłem; naraził się na dźwignię, powodującą przeprost łokciowy. Takie coś to nie przelewki. Chrupnęło nieprzyjemnie i jego lewa ręka nie nadawała się więcej do normalnego użytku, co potwierdził jego bolesny jęk.

Nie przewidziałem tego, co stało się dalej. Facet cofnął się o krok, sięgnął prawą za pazuchę kurtki i wyciągnął mały pistolet, celując w plecy dziewczyny.

- No i co, dupku? – rzucił nienawistnym tonem. – Nie myśl, że będzie pierwsza, bo mam już dwóch innych na rozkładzie i ciebie też to może czekać.

- Okej, okej – podniosłem dłonie, żeby nie prowokować go.

Mimo bólu gość trzymał się na tyle, że jego groźba brzmiała realnie. Był w trudnym położeniu, bo musiał zapanować nad zbuntowaną dziewczyną próbującą ucieczki. Nie mógłby więc prowadzić auta. Wymyślił więc rozwiązanie, z którego byłem bardzo rad.

- Wsiadaj za kierownicę – warknął do mnie.

Zrobiłem to, podczas gdy on uderzył ją trzeci raz, czym nieświadomie naraził się na powiększenie wymiaru kary, którą mu w myśli wymierzyłem. Straciła przytomność, więc wepchnął ją z trudem na tylną kanapę, cały czas trzymając broń w jednej ręce. Po chwili byłem już na miejscu kierowcy, siedząc spokojnie, żeby nie dać mu powodu do jakiegś gwałtownej reakcji. Dziewczyna zaległa na tylnej kanapie, zaś on wsiadł z przodu na miejsce pasażera, kierując krótką lufę wprost we mnie. No – pomyślałem od razu – już jest dobrze, wreszcie facet jest blisko mnie.

- Jedź! – warknął. – Jeden ruch i masz dziurę na wylot.

- Dokąd?

- Tą drogą, kawałek prosto i potem pierwsza w lewo.

Wrzuciłem bieg i ruszyłem zgodnie z instrukcją.

Facet bardzo powoli odzyskiwał przytomność, więc go obszukałem i znalazłem jego komórkę w tylnej kieszeni spodni. Był solidnie poszkodowany, więc wystukałem numer pogotowia i opisałem sytuację jako świadek wypadku. Kiedy się rozłączyłem, wrzuciłem aparat do środka i chwyciłem dziewczynę za rękę.

- Chodź, zmywamy się – powiedziałem, kierując się w stronę skąd przyjechaliśmy.

Mniej więcej kojarzyłem kierunek do miejsca zostawienia roweru. Dziewczyna dała się pokierować i ruszyła bez oporu. Liczyłem, że do przyjazdu karetki minie minimum kwadrans, więc początkowo szliśmy drogą. I gdy już zamierzałem skrócić w las, oddaleni o jakieś dobre pół kilometra od wraku, Żaneta obejrzała się i krzyknęła:

- Jezu, zobacz!

Mogłem się tylko później domyślać, że doszedłszy nieco do siebie alfons zrobił bardzo głupią rzecz. Prawdopodobnie nie zdawał sobie jeszcze dokładnie sprawy ze stanu auta, więc spróbował je uruchomić na spięcie, chociaż możliwe, że zapłon ulatniającego się paliwa nastąpił samoczynnie. W każdym razie, zobaczyłem języki ognia wydobywające się z wraku, zaś chwile później rozległ się huk i nad autem strzeliła w górę lufa ognia, sięgając gałęzi okolicznych drzew.

W pierwszym odruchu rzuciłem się wstecz, lecz sekundę później dotarło do mnie, że już za późno. Typ sam się nie wydostał i nikt inny też już by go nie uratował. Razem z dziewczyną patrzyliśmy chwilę na oddalony pożar.

- Nic tu po nas – powiedziałem i pociągnąłem ją dalej w pierwotnym kierunku, w las.

Szła ze spuszczoną głową, jak mi się wydawało, nad czymś intensywnie rozmyślając. Na jej miejscu na pewno bym się zastanawiał nad znaczeniem tego wydarzenia.

- Ilu wiedziało o tobie, żeby cię zidentyfikować?

- Właśnie myślę – odpowiedziała. – I chyba tylko on jeden.
- No to masz szczęście.
- Jezu, chyba tak. Ale numer...

I to było ostatnie zdanie, jakie od niej w życiu usłyszałem. Nie licząc dwóch słów, które dotarły do mnie kilkanaście minut później, gdy się rozstawaliśmy. Wsiadałem na swój rower, zaś Żaneta, czy jak jej tam naprawdę było na imię, powiedziała, ruszając na piechotę ku widocznym niedaleko rogatom miasta. Właśnie przemknął obok nas czerwony wóz straży pożarnej.

- Dzięki, stary.

Juliusz Rafeld

SUDOKU

5	3			7				
6			1	9	5			
	9	8					6	
8				6				3
4			8		3			1
7				2				6
	6					2	8	
			4	1	9			5
				8			7	9

GARDEROBIANKA

Kochani, w ostatnim artykule zachęcałam, by każdy próbował coś zaprojektować i uszyć samodzielnie. Próbujecie coś projektować lub szyc?

Gratuluje sukcesu! Nawet jak coś nie wyszło, nie poddawajcie się. Ważne jest, że próbujecie. Każdy popełnia jakieś błędy zanim dojdzie do perfekcji, a jeśli ktoś potrzebuje podpowiedzi służę pomocą (już jednej udzieliłam).

Żyjemy w pięknym klimacie, gdzie jest cztery pory roku różniące się od siebie. I to jest piękne, ponieważ na każdą porę możemy przygotować sobie inną garderobę.

Podczas gdy w lecie nosimy zwiewne sukienki, w jesieni musimy odstawić je na kolejny sezon. Poszukajmy coś odpowiedniego na jesień. Pamiętajmy o kolorach, nie bójmy się ich łączyć. Nie ubierajmy samych odcieni szarości. Często jaśniejsze bawry poprawiają nam samopoczucie, więc warto założyć też coś bardziej kolorowego. Pamiętajmy jednak, by strój był odpowiedni do aktualnej pogody i nie zakłócił naszego dobrego zdrowia.

Troszkę o butach. Dobierajmy je starannie, dbając o swoją wygodę. Osobiście zawsze mam z tym problem i wiem, że jest dużo osób takich jak ja. Nie raz niestety ciężko kupić nam ładne i wygodne buty. Wyjątkiem są może niektóre adidas, czasem trafią się ładne. Teraz można je nosić też do sukienki i nikogo to nie dziwi. Eleganckie buty – kiedy już je sobie upatrzymy, może nie być takiego numeru, mogą być za drogie. Nie zniechęcajmy się jednak ceną. Raz na jakiś czas warto kupić te droższe buty, będą na kilka sezonów.

Młodzi ludzie kupują często przez internet. Czasem trafi się okazja, kupią taniej buty firmowe, a jeżeli im nie odpowiadają – mogą je odesłać. Możemy poprosić kogoś młodszego, by poszukał z nami odpowiednich butów i zamówił dla nas przez internet.

Nie myślmy też nigdy o tym, co inni powiedzą o naszym wyglądzie, ubraniu. To my mamy się dobrze czuć w tym stroju i w butach, które sobie wybierzemy. I to jest właśnie nasz styl.

Zdjęcia przedstawiają trendy na jesień 2021



Dwurzędowy płaszcz



Kozaki



Rozpinany kardigan

Irena Bartoszek

WSPOMNIENIA SPRZED LAT

HANIA ZE SNURÓW

Urodziłam się i wychowałam w małej, zapomnianej przez Boga i ówczesną władzę- lubelskiej wiosce. O tym, że mieszkam w Sierakowie dowiedziałam się w wieku 7 lat.

W szkole były badania dla pierwszoklasistów. Na pytanie lekarza jak się nazywam, odpowiedziałam : Hania Kazikowa... gdzie mieszkam: na „Snurach”.

Uświadomiono mi wtedy, że nazywam się Niedźwiecka, a „Snury” to Sieraków. Nikt w najśmielszych przypuszczeniach nie podejrzewałby, że za czterdzieści kilka lat osiedle „Snury” będzie "widokówką" mojej wsi. W mojej małej ojczyźnie nie było elektryczności, a zamiast ubitej drogi były piaszczyste koleiny. Były za to dwie rzeki: Borowina i Tanew, dookoła lasy i łąki. Odległe o 2 km. Harasiuki były jak zagranica. W 1963 roku przeprowadziliśmy się do nowego domu właśnie na „Snurach”... Ottaczały go pola obsiane żytem i owsem, a do wsi prowadziła wąska ścieżyna pomiędzy zagonkami zbóż. Siermiężne to było dzieciństwo, odarte z przytulań i czułości. Tato pracował w Ceramice, a Mama zajmowała się nami, domem i gospodarstwem...

Pamiętam jak zabierała nas w pole, żeby mieć oko na całą czeredkę... Po takich wyprawach byliśmy po uszy umazani piachem, nieczęsto zasikani... Mycie było w miednicy przy studni albo w rzece. W lecie łowiliśmy kielbie, które "konały" powoli w basenikach na brzegu Borowiny...pływaliśmy też starą łódką, która przeciekała, ale frajda była niesamowita.

Lato to także wyprawy z Mamą na jagody, zawsze zabierała nas ze sobą...to były takie pieniądze "ekstra" dla Niej i dla nas. Koło połowy sierpnia odbywała się wyprawa do Biłgoraja...najbardziej z tych wyjazdów zapamiętałam smak bułeczki pszennej i kielbasy parówkowej...niesamowite że do dzisiaj, kiedy zamykam oczy i przywołuję tamte chwile czuję zapach tej parówki i bułki - dzisiejsze tak nie pachną . Lato to także przyjazdy rodziny "z zachodu"...miałam wtedy wrażenie że oni wyglądają inaczej, pachną inaczej, mówią inaczej...Ciocia z Mysłakowic gotowała przepyszne zupy jarzynowe i lepila pierogi z owocami...każdego dzieliła po równo i z głodu paść nie dała.

Ważnym wydarzeniem wtedy był odpust w Krzeszowie na Piotra i Pawła - szykowaliśmy się na niego poczynawszy od nowych ubrań, listy "zakupów" i zebraniu kasy na nie.

Kolorowe to były imprezy, pierścionki z czerwonym oczkiem, piłeczki na gumce, wiatraczki, szczypki, rybki, korale z ciastek, pierniki lukrowane...długo by wyliczać. Była też procesja z proboszczem pod baldachimem, ale to była dla Nas wtedy najmniej istotna część odpustu. Smaki dzieciństwa to chleb posypyany cukrem i polany wodą, ulęgałki na miedzy, miód z pasieki dziadka Jana, kartofle ze skwarkami i pamulą z jabłek.

Na zawsze zapamiętałam blask lamp naftowych, radio na baterie galwaniczne, wiszące na specjalnej półeczce w eksponowanym miejscu. Beztroskie dzieciństwo skończyło się wraz z pójściem do szkoły, ale to już temat na kolejne wspomnienie.



Na zdjęciu Hania(dziewczynka zakopana po uszy w piasku)

Anna Niedźwiecka

Z OKNA ROMANTYCZKI



Zuza Bak

WIERSTW Z SZUFLADY

PRZED SNEM

drgający płomień
poruszał krajobraz gdy usta
wędrowały od wschodu do zachodu

banalne słowa
nie wymagały nowego alfabetu
odkąd westchnienia zastąpiły drogowskazy

wszystkimi zmysłami
rozpoznawali swój smak
drząc i mrucząc zachłannie

mimo że po omacku
układając się jak puzzle
usnęli wraz z płomieniem świecy

Juliusz Rafeld

MÓJ DOM

oazą
dla zmęczonych
podróżą
myśli

mój dom
cichą przystanią
w wietrzne
pochmurne
dni

mój dom
pamiętnikiem
naszych
wspólnie spędzonych
chwil

Joanna Bożek-Krasoń

PIOSENKA

Zakochałem się w piosence od Ciebie
Kiedy mruczałaś mi w myślach
Twoja melodia mi serce rozgrzewa
a nogi rwą się same do tańca
Zasłuchany w twoje słowa bez reszty
Zachwycony cichutko ją ci śpiewam.

Krzysztof Sprysak

TO DZIWNIE

jak bardzo
miłość
zmienia twarz

jak bardzo ją rozjaśnia

jak bardzo
płoną
widoczne z oddali
rozigrane
rozpalone przez ogień

dwa
ozdobne
lampiony

oczy

Joanna Bożek-Krasoń



NIEBO NA TALERZU

Czekoladowiec

Składniki :

-5 jajek
-margaryna
-1 szklanka cukru
-2 szklanki mąki
-1 łyżka amoniaku
-2 łyżki kakao

Masa:

-4 żółtka
-1/2 l mleka
-3/4 szklanki cukru
-cukier waniliowy
-1 łyżka mąki pszennej i ziemniaczanej
-margaryna
-gorzka czekolada

Przygotowanie:

Margarynę utrzeć, jajka ubić z cukrem, dodać do utartej margaryny na przemian z mąką. Ciasto podzielić na cztery części. Upiec cienkie placki.

Masa: Żółtka utrzeć z cukrem, mleko zagotować z cukrem waniliowym. W 1/2 szklanki mleka roztrzepać obie mąki i połączyć z żółtkami. Zagotować w gotującym się mleku. W gorącym budyniu rozpuścić czekoladę, wystudzić, utrzeć z margaryną.



***Koło Gospodyń i Gospodarzy Wiejskich
w Hucie Krzeszowskiej***

NA WESOŁO

Kobieta dzwoni do radia i mówi:

- Znalazłam portfel, a tam 3000zł oraz czek na 10 tys. euro. Portfel jest pana Stanisława Kowalskiego, zamieszkałego przy ul. Czerskiej 10 w Warszawie. Mam jedną gorącą prośbę... Proszę panu Stasiowi puścić jakąś fajną piosenkę ode mnie.

Pewien facet jechał swoim BMW i złapał gumę. Zatrzymał się na poboczu aby zmienić koło. Podjeżdża mercedes, wysiada z niego gość i pyta:
- Co pan robi?
- Odkręcam koło - odpowiada facet.
Ten z mercedesa bierze kamień, wali w szybę i mówi:
- To ja wezmę radio

Pani Gienia pyta się lustreczka:

- Lustreczko, powiedz przecie, kto jest najpiękniejszy na świecie?
Lustreczko mówi:
- Odsuń się, bo nie widzę

Idą dwie agrałki przez pustynię i nagle jedna zaczyna narzekać:

-Uf jak mi gorąco...

Na to druga:

-To się rozepnij!

Mama uczy synka liczyć, zadaje pytania:

– Ile nóg ma pies?

– Cztery.

– A ile ma uszu?

– Dwoje!

– A oczu?

– Mamo, czy ty nigdy nie widziałaś psa?!

– Mówię ci, to było niesamowite! Jadę na słońcu, patrzę do tyłu, a tu lew, patrzę obok, a tam dwa tygrysy!

– O matko! I co zrobiłeś?!

– Nic, karuzela się zatrzymała i zszedłem...

STOPKA REDAKCYJNA

Redakcja: Joanna Bożek-Krasoń

Opracowanie graficzne: Natalia Bożek

Współpraca: Piotr Flor, Mariola Sokal-Dziura, Aleksandra Chutkowska,

Natalia Bożek, Andrzej Wójcik, Juliusz Rafeld, Anna Niedźwiecka, Irena Bartoszek, Zuza Bak

Adres redakcji: Huta Krzeszowska, ul Łąkowa 29, 37-413 Harasiuki

E-mail: wioska.na.krancu@wp.pl

Tel: 535455794

Nr w rejestrze Dzienników i czasopism: INS 15/20

Druk: Magenta, Bydgoszcz, Konarskiego 2 **Nakład:** 100 egz.

Strona tytułowa- fragment wiersza „ARS POETICA” Czesława Miłosza